

W. O. Biehler T. J. bijący w bęben i skrzynię dla uciechy małych tancerzy ze szkoły w Kwite.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Odszczepieństwo.

Istnieje na ziemi piękne, bujne drzewo, o sokach obfitych i olbrzymich konarach, obejmujących świat cały... Dopóki gałęzie trzymają się pnia, dopóty odżywiają je soki jego, lecz z chwilą, gdy się którakolwiek odeń odłącza, łamie się, usycha i żyć przestaje. Tem wielkiem drzewem jest Kościół katolicki, a pomiędzy konarami, które się usiłowały odłączyć od

pnia, dostrzeże każdy łatwo schizmę grecką. Oderwana Abissynia i z punktu widzenia obyczajowego gorszy przedstawia widok, aniżeli trup w rozkładzie. Znajdują się w niej obficie bagna szerzące zgniliznę grobu. Bardziej zepsuci od pogan, żywią Abissyńczycy jeszcze w dodatku wszystkie uprzedzenia i dumne przesądy względem Rzymu. Spotyka się tutaj na każdym kroku podstęp, niesprawiedliwość, pychę, dwulicowość i cynizm kłamstwa, bezwstyd i zatratę wszelkiego poczucia moralności. I niema w tym obrazie żadnej przesady! Odszczepieństwo wznosi olbrzymią zaporę pomiędzy ludem a nami; odrzuciło ono matkę, a popadło pod władzę macochy! My, w oczach błędnowierców, jesteśmy gorszymi od muzułmanów. Jeden z naszych misyonarzy, przechodząc przez wieś, pozdrawiał ludzi, którzy mu jednak na jego pozdrowienie nie odpowiadali, a gdy ich zapytał o powód zniewagi, rzekli: „Nie kłaniamy się nigdy muzułmanom, a wy gorszymi jeszcze jesteście od nich!“

W kraju Amara, nienawiść do misyonarzy Jezuitów jest tak wielką i żywą, iż każdego roku lud zbiera proch z ich grobów i rozsiewa go na wietrze. „Abuma“ czyli biskup schizmatyków, nie obawia się twierdzić głośno, iż koran mahometański stoi wyżej od religii rzymsko-katolickiej, a chcąc się pozbyć Jezuitów, wmawia w podwładnych sobie wodzów, że pewnym a łatwym środkiem otrzymania nieba i uzyskania także uwieńczenia siedmioma koronami, jest wyplenianie katolików i zgładzanie ich wraz z ich trzodami! W oczach cesarza ci sławni „abumanie“ nie są czem innem, jak tylko posłusznemi narzędziami ich władzy, szafującemi automatycznie ekskomuniką. Książe Oubié mawiał do „abumy“ Salama: „Milcz, nie różnisz się bowiem od moich niewolników niczem innem, jak tylko ceną, którą za ciebie zapłaciłem.“ Cesarz Theodorus posunął się dalej jeszcze. Gdy razu pewnego „abuma“ czynił mu wymówki, pojmać kazał „turka“ (przezwisko pogardliwe, którem obdarzał tych biskupów egipskich) i zamknąć w ogrodzeniu napełnionem suchem drzewem i chrustem, które też natychmiast podpalić miano, by upiec żywcem „abumę“, gdyby się nie był wyrzekł pośpiesznie moralizowania swego księcia.

Za naszych dni jeden z biskupów schizmatyckich wyznaje aż siedmiu bogów.

W tym wypadku, jak i w wielu innych, widzi się więc namacalnie, że tylko religia katolicka posiada Boską władzę podnoszenia i doskonalenia człowieka nawet najbardziej upadłego. Umysł pogański opętany i zgangrenowany raz przez herezyę, popada zawsze w stan gorszego poniżenia nawet od zeźwierzęcenia dzikich! Łatwiej jest przywieść pogan do poznania prawdy, aniżeli nawrócić odszczepieńców. Pycha ich niesłychana, ich fanatyzm i przesądy nieuzasadnione, wszystko

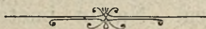
to połączone z okropnymi wprost obyczajami, tworzy szereg niezdobytych szańców obronnych, poza którymi kryje się herezya. Lecz nawet skoro uda się wam dotrzeć do jej wyznawców i ukazać im światło prawdy powiedzą, iż muzułmanami jesteście, lub przeklętymi żydami, i że ani myślą o żadnem nawróceniu! Jasnem jest i namacalnem, że Pan Bóg spełnia chyba nad tym nieszczęśliwym krajem wyrok Swej niezachwianej sprawiedliwości, ciążący od wielu wieków nad tym upadłym narodem, nie chcącym otworzyć oczu na światło prawdy, i nadużywającym łask i cierpliwości Boskiej.

Opowiem wam przy innej sposobnosci o niesłychanych wysiłkach misyonarzy w celu nawrócenia tego kraju, a zobaczycie, jak wiele kosztowało ich to trudów i ofiar w stosunku do skąpych rezultatów, jakie otrzymali dotychczas. Utrzymują powszechnie, iż Abissynia jest krajem chrześcijańskim, i prawda, była nim niegdyś. Wspaniały był to widok, gdy w epoce podboju Turków cały jej naród skupiwszy się w swych dzikich górach, opierał się sam jeden nawale zalewającej wszystko dokoła i okrywającej Wschód hańbą, błotem i krwią! Lecz dzisiaj naród ten chrześcijańskim jest z imienia! Odszczepieństwo, jako gad zjadliwy, wsączyło jad w jego serce, z pięknej budowli pozostało jedynie podmurowanie, a gmach cały rozsypał się w gruzy. Zapytajcie schizmatyka, kim jest katolik: „Jest to poganin, muzułmanin, który nie pości, jest to profan, który się obżera mięsem nieczystych zwierząt, który konsekruje Hostyę krwią zająca (zwierzę nieczyste), zmięszaną z czerwonym pieprzem i z krwią tchórza i t. d., i t. d. Przypomina to potwarze rzucane przez pogan na pierwszych chrześcijan.

Co do błędów zasadniczych, oto najgłówniejsze. Po pierwsze, uznają jedną tylko naturę w Chrystusie Panu; po drugie, w sprawie pomazania Chrystusa Pana istnieją trzy mylne twierdzenia, trzy sekty; po trzecie: Duch św. nie pochodzi od Syna; po czwarte: dusze nie zostały stworzone przez Boga; po piąte: dusza dziecka nie odziedzicza grzechu po Adamie, lecz traci swą niewinność łącząc się z ciałem; po szóste: Pan Bóg odmawia czasem łaski Chrztu św.; po siódme: niema sądu osobistego zaraz po śmierci — dusze oczekując godziny zmartwychwstania idą do t. zw. *siholu,* czyli mieszkań podziemnych błotnistych i pogrążonych w ciemnościach dla istot skalanych, a opromienionych światłem nadziei, bez smutku — dla sprawiedliwych; po ósme: Papież nie jest następcą św. Piotra. Jest to szereg najgłówniejszych błędów.

Pozwólcie mi następnie przedłożyć wam obraz tysiąca zabobonów, zdobiących osobliwą ich wiarę!

(C. d. n.).



Korespondencya misyjna.

Szczegóły o misyi OO. Jezuitów w Empandeni (Rodezya).

W. O. Biehler T. J., dobrze znany Czytelnikom naszym, korzysta z wakacyi dzieci, któremi się zajmuje, by dostarczyć interesujących wiadomości o powierzonych sobie trzech stacyach misyi nad Zambezą. A że dołącza do listu swego piękne fotografie, zdobimy niektóremi z nich to pełne wdzięku opowiadanie.

Kochani Dobroczyńcy,

Wakacye dzieci pozwalają mi pogawędzić z Wami swobodniej o wszystkiem, co Was interesuje; nadto załączone fotografie uobecnią Wam szczegóły z naszego życia.

Każda z trzech stacyj, któremi się zajmuję, posiada szkołę pod kierunkiem katechisty. Misya centralna to — Empandeni, gdzie wznosi się piękny kościół z granitu i porządna szkoła pod kierunkiem Sióstr Najśw. Panny.

O 12 kilometrów stąd, posiadamy drugą ważną misyę Embakwe; tam również kościół w dobrym stanie i szkoła prowadzona przez Siostry wymienionej Kongregacyi.

Moje trzy stacye, zależne od Empandeni, kościołów jeszcze się nie doczekały. Szkoła jest jedna tylko z drzewa i słomy. Budynek ten zastępuje świątynię. Ale gdy skończy się sezon deszczów, rozpoczniemy budowę, jeżeli środki na to pozwolą; liczymy w tym względzie na pomoc Dobroczyńców naszych. Dla zmniejszenia wydatków, sami zajmiemy się budową.

Pierwsza z tych misyj — Silima. Praca tu rozpoczęta została przed trzema laty. Szkoła liczy 70 chłopców i 66 dziewczynek. W dniu tygodniowej mej wizytacyi miewam od 30 do 40 komunikujących. Połowa dzieci ze szkoły przyjęła Chrzest św., ale i poganie przychodzą na Mszę św. i na naukę. Oprócz dzieci jest jeszcze kilku młodych ludzi i kilka młodych dziewcząt, obeznanych z prawdami wiary i ochrzczonych dawniej przez OO. Hartmanna, Prestage'a i Bicka podczas wycieczek ich apostolskich.

W Kwite, o 12 kilometrów stąd, jest w szkole 67 chłopców i 88 dziewczynek. Stacya ta istnieje od dwóch lat.

W Umkaya, o 10 stąd kilometrów, mam 72 chłopców i 53 dziewczynki. Początki tej szkoły sięgają zaledwie roku.

W niedziele i dni świąteczne dzieci tych szkół i dorośli chrześcijanie przychodzą do Empandeni na Mszę św., Komunię św. i kazanie. Wierność ich w tym względzie, pomimo odległości, jest budująca. Nawet pasterze, po odprowadzeniu stada do obór, przychodzą w sobotę wieczorem w celu przystą-

pienia nazajutrz do Komunii św. i wysłuchania pierwszej Mszy świętej. Zarazże potem wracają dla wyprowadzenia trzód na paszę, a wszystko to na czczo.

W ofiarach tych tem większa jest zasługa, że łączy się z niemi noc spędzona na gołej ziemi i brak przykrycia.

Wilią Niepokalanego Poczęcia i Bożego Narodzenia ze 30 murzyniąt przyszło stukać do mego okna po godz. 9 wieczorem, prosząc o schronienie i przykrycie. Byłem w kłopocie, gdyż dostarczyć nie mogę ani jednego, ani drugiego. Po namyśle udaję się jednak do składu i znajduję tam puste worki, co mi pôzwala obdzielić całą gromadkę. Nie wiedząc jak ich użyć, biorę jednego malca, pakuję go do worka i kładę na naszej werandzie. To wystarczyło! Po chwili wszyscy leżeli w workach i wskutek zmęczenia, w pięć minut spali nieruchomi, jak 30 worków mąki.

Tego popołudnia (o 4 godz.) dwóch chłopców, od 12 do 14 lat, przychodzi do mego pokoju i siada na ziemi, nic nie mówiąc. Obaj przyszli ze szkoły w Kwite, o 12 kilometrów stąd, tego ranka o godz. 6, do Komunii św. i na sumę.

— Czego chcecie? — pytam.

— Nic nie chcemy — odpowiadają — jesteśmy zmęczeni i czekamy na błogosławieństwo.

— Czy jedliście co? — pytam znowu.

Odpowiedź była przecząca.

Biedni ci chłopcy nic nie jedli od wczorajszego wieczoru, przeszli 12 kilometrów, przyjęli Komunię św., byli na sumie, a teraz czekają godziny błogosławieństwa, żeby przejść znowu 12 kilometrów przed samą nocą i to na czczo.

Jest to w istocie budujące! Ale powiecie mi może: „Dlaczegoż Ojcowie nie dostarczą im posiłku i noclegu?“ Dlaczego? Bo nas nie stać na to, zbyt jesteśmy ubodzy!

W dzień Niepokalanego Poczęcia było ogólne zebranie ze wszystkich stacyj w Empandeni. Na pierwszej fotografii, zdjętej przed kościołem, jest 50 osób, które przyjęły I-szą Komunię św. i 40 nowo ochrzczonych, których znaczna większość pochodziła z moich trzech stacyj.

Na innej fotografii znajduję się w otoczeniu malców z moich trzech szkół. Mieli oni już szczęście przyjęcia pierwszej Komunii św., lub tylko Chrztu św. Trzecia fotografia przedstawia przybycie moje do szkoły w Umkaya. Zwykle udaję się tam na rowerze, do którego zostaje przymocowany mały mój ołtarz przenośny. Tego dnia miałem nadto mały powozik dla dostawienia gramofonu i nagród na zakończenie roku. Uczniowie najpilniejsi otrzymują jako nagrodę, koszulkę albo kawałek perkalu, czy też coś w tym rodzaju. Nazajutrz zrana odprawiłem Mszę św. w cieniu przepysznego drzewa, które widzicie na czwartej fotografii.

Ze względu na to, że budynek szkolny w tej stacyi stanowi chata, zmuszony byłem, z powodu wielkiej ilości obecnych, odprawić Mszę św. pod gołem niebem. Z prawej strony dostrzeżecie małą orkiestrę, złożoną z czterech instrumentów dętych, a służącą do akompaniamentu śpiewu; trzech muzykantów należało do orkiestry w Chishawashy.

Mie mając jeszcze harmonium, uciekłem się do tego sposobu. Ufajmy, że wspaniałomyślność Dobroczyńców naszych dopomoże nam, gdy szkoła zostanie zbudowana, do nabycia harmonium.

Na piątej fotografii znajduję się w szkole w Silima. Dla podniesienia uroczystości aktu rozdawania nagród, przyprowadziłem znowu z sobą czterech małych muzykantów.

Na szóstej fotografii widzicie mię bijącego w bęben i wielką skrzynię dla uciechy małych mych tancerzy ze szkoły w Kwite.

Wreszcie na ostatniej przedstawiona wielka uroczystość w Empandeni w dzień Bożego Narodzenia: zebranie dzieci przybyłych ze wszystkich stacyj. Ale tylko te, które otrzymały nagrodę, były zaszczycone udziałem w paradzie, w tańcach i podwieczorku, przygotowanym przez Siostry. Było około 400 dzieci (ze wszystkich szkół), które do tego należały. To też zdjęte są po rozdaniu nagród w świetnych, a tak prostych strojach, te biedne dzieci chodzące zwykle w łachmanach! Ale były szczęśliwe w dzień Bożego Narodzenia!

W środku widać małą orkiestrę, na którą składają się instrumenty dęte.

Zaraz po przybyciu wziąłem się do organizowania orkiestry, nic bowiem tak nie pociąga i nie wzrusza tych dzieci natury, jak muzyka. Nie było to jednak rzeczą łatwą, miałem bowiem na początek kilka starych instrumentów z bębnami podziurawionymi. Ale gdy zabijano kozę, skóra dostawała się mnie i tak powoli bębny zostały pokryte, chociaż ich dźwięk wiele pozostawiał do życzenia.

W braku innych bębnów wystarałem się o skrzynie blaszane. W pierwszym rzędzie mam trzy trąbki, ale tak stare, że biednym chłopcom mało policzki nie pękną przy wydobywaniu z nich dźwięków. Dalej są cztery skrzynie z blachy, wielka skrzynia z cymbałkami podziurawionymi i wreszcie inne instrumenty.

Pewien jestem, że znajdą się ludzie, co nam pomogą, szczególnie na widok wielkiego dobra już dokonanego i, jakie pozostało do zrobienia.

Z pomocą naszych Dobroczyńców mam nadzieję nietylko znaleźć się w posiadaniu dobrej orkiestry z instrumentów dętych tu w Empandeni, (równie dobrej jak ta, którą miałem w Chishawashy), ale — posiąść także w każdej stacyi piękną kaplicę i szkołę, zaopatrzone w rzeczy potrzebne do sprawo-



Msza św. w Umkai.

wania św. Ofiary i do klas, nadto dom, ktoryby dał schronienie dzieciom i misyonarzowi przed chłodem, wiatrem i deszczem. Teraz zimno, wiatr i deszcz mają dostęp ze wszystkich stron, a za całe wyekwipowanie szkolne przysługują dzieciom kawałki łupku i kamyki śpiczaste z rzek, mające zastąpić ołówki.

Sądzę, że Szan. Czytelnicy pobłażliwi będą, jeżeli prace staną nam na przeszkodzie w dostarczaniu regularnych wiadomości. Gdy raz lekcye się zaczną, jestem zajęty bez wypoczynku od godz. $5^1/_2$ zrana, chwili wyjazdu mego na rowerze na spowiedź, Mszę św., naukę, lekcye w szkole, śpiew i t. p., oraz objazd wiosek sąsiednich, do godziny 5 po południu, gdy wracam do szkoły na lekcye wieczorne i muzykę. Jednego dnia w jednej stacyi, nazajutrz w drugiej i tak po kolei. Tylko ta wytrwała rutyna zapewnia powodzenie stałe.

W imieniu dzieci ślę podziękowanie wszystkim, którzy nam przyśli z pomocą.

„DOZWÓLCIE DZIATECZKOM PRZYJŚĆ DO MNIE!“

(Wikaryat apost. Natalu).

Załączony list W. O. Delagnes, O. M. I., wpadnie w ręce wielu Przyjaciół misyj, a może i obojętnych Czytelników. Wszyscy jednak przysłuchajmy się tej skardze, dochodzącej nas z za morza, gdyż to głos zranionego serca apostoła!... Nie odtrącajmy błagalnej jego prośby, dozwólmy czarnym dziatkom zbliżyć się do Jezusa, aby wyjednały łaskę, jakiej tak bardzo potrzebują nasze białe dzieci!...

Misya św. Joachima rośnie i rozwija się na podobieństwo ziarnka gorczycznego. Dziś jest ona pełnem żywotności drzewem, zwracającem na siebie uwagę zdziwionych kafrów z okolicy. Widzieli je oni niedawno tak malutkiem, że zadają sobie pytanie, jakim sposobem został osiągnięty wzrost tak szybki. Łaska Boża działa cuda. Można to zastosować szczególnie w tym wypadku. W chwili gdy przeszkody gromadzić się zdawały, by wzrost misyi stłumić w zarodku, zarodek ten tak się rozwinął, że grozi zagłuszeniem innych.

Misya została założona i szkoła otwarta w samem ognisku protestantyzmu. Co najmniej 8 kościołów i 8 szkół naliczyć można w promieniu 8 kilometrów. Po trzech latach pracy misya i szkoła katolicka stają w pierwszym rzędzie co do liczby. Nie chcę czynić porównań co do wartości. W szkole mieliśmy 70 uczniów na naszem utrzymaniu, ilość zaś katechumenów dosięga prawie setki. Nie jestże to pocieszające? Tak, ale, niestety, piękne to drzewo narażone jest na zeschnięcie.

Pośpiech w niesieniu ratunku jest tu konieczny. Pomyślcie tylko, że utrzymanie dzieci ze szkoły ciąży całkowicie na mnie pod każdym względem. Trzeba zaopatrzyć je we wszystko od maty, na której sypiają w nocy, do łyżki kukurydzy podtrzymującej ich siły. Przybywają one do mnie po większej części zbuntowane przeciw swym rodzicom, poganom, którzy ani słyszeć nie chcą o „Dobrej Nowinie". Całe ich mienie stanowi: u dziewczynek kołdra, a u chłopców około 2 decymetrów kw. skóry krowiej. Pierwszem staraniem mojem jest zapewnienie im należytej kąpieli w rzece, a to aby się pozbyły niektórych małych zwierzątek, nie mających prawa wstępu do szkoły. Potem pokrywam je jakimś łachmankiem, więcej licującym ze skromnością chrześcijańską. Nazajutrz rodzice przybywają, stają butnie przede mną, rysy ich odbijają gniew, który wre w ich sercach. Domagają się dziecka, co im zbiegło, chcą je mieć, będą je mieli! Wówczas uciekam się do dyalektyki dla uspokojenia ich gniewu. Strofuję ich, napominam, wreszcie stawię przed nimi winowajcę. Ten przychodzi zawstydzony. Obecność moja dodaje mu otuchy, wie bowiem, że przy mnie kij nie będzie należał do najwymowniejszych argumentów. Prawidło ogólne tak się da sformułować: jeżeli dziecko dotrzymuje placu, ojciec ustąpi, do czego przyczynia się bardzo nowe dziecka ubranie. Nie odchodzi jednak, nic nie wskórawszy, przynajmniej musi zabrać z sobą minimalny pakunek, jaki dziecko uniosło z domu; będzie to służyło innemu. Taki jest poziom umysłu kafrów i trzeba długich lat, żeby to uległo zmianie!

Otóż, Czcigoda Pani, w tych ostatnich czasach odmówiłem przyjęcia do szkoły kilku tym zbiegom z domu ojcowskiego. Jest to krok, do którego zmusiło mię ubóstwo, a upewniam Panią, że rana, jaką to zadało sercu memu, dotąd niezabliźniona.

Jakto! Bóg powołuje; dziecko biedne opuszcza chatę ojcowską w nocy, by go nie przytrzymano, przychodzi do szkoły, oświadcza stanowczy zamiar uczenia się, a ja muszę na to odpowiedzieć: „Biedne moje dziecko, przyjąć ciebie nie mogę, miejsca nie mam, nie mam czem zaspokoić twego głodu, nie posiadam nic, by cię przyodziać. Zaczekaj, może później...."

Może? A dziewięć razy na dziesięć wypadków to „może" nigdy się nie urzeczywistni.

Dziecko wraca do domu, przysiada w chacie na ziemi, zawijając się w kołdrę. Rośnie wśród tego otoczenia pogańskiego, gdzie rozmowy najbezecniejsze ciągle są na porządku dziennym; znajduje tam drogę do występku, daje się pociągnąć, staje się zatwardziałem, i tak powoli nasienie słowa Bożego zostaje zagłuszone w tem sercu, niegdyś tak dobrze usposobionem, a dziś, niestety!....

A to jeszcze nie wszystko, dziecko to odepchnięte ma towarzyszy, opowiada im swe dzieje, mówi im, że tam, u katolików, nie przyjmują więcej dzieci. A gdy Pan Bóg powoła je z kolei, już nie przyjdą one do misyi. Wiedzą, że tam pełno.

Ach! Czcigodna Pani, wśród wszystkich udręczeń, jakie ściskały mi serce, żadne go tak nie przygniotło, jak to odtrącenie garnących się do Boga dzieci... Odbywałem bardzo uciążliwe pochody wśród palących promieni słońca; cierpiałem pragnienie i niedostatek; chodziłem za pługiem, motyką uprawiałem ziemię; młotek i kielnia, siekiera i hebel były w mem ręku. Niema rzemiosła, do któregobym się nie brał dla zaspokojenia potrzeb tych drogich dzieci. Wszystko to ciężkie. Ciało moje zmiażdżone trudem, ale w sercu — radość. Śpiewam, oddając się tym zajęciom i wracam do nich codzień z tą samą odwagą. *Ale być zmuszonym odepchnąć dusze!*... Nie, tego nie może przenieść moje serce, rozdziera się ono z bólu!

Zaklinam Cię, Czcigodna Pani, przyjdź mi z pomocą, jeżeli możesz! Oby Pan Bóg, za Twem pośrednictwem, wzbudził Dobroczyńców, którzy staliby się z kolei misyonarzami, wspomagając ubogie misye. Jakże wielka czeka ich nagroda za to, co uczynia dla Boga i rozszerzenia królestwa Jego!

Dziecko przyjęte do szkoły, to — *jeden katolik więcej*, to *jedno nawrócenie, jedna dusza zbawiona!*

Pomyślcie o tem, Wy, w których ręce wpadnie to pismo i, jeżeli Opatrzność Boża obdarzyła Was dobrami tego świata, o proszę Was, otwórzcie serce Wasze i rękę.

Dajcie misyonarzowi, a Bóg Wam to odda!

„Rzymska Pani."

O. Foncé, ze Zgrom. Misyonarzy z Scheut, przytacza w liście swym do Generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera, słowa i życzenia murzynów tamecznych, które zabawią i wzruszą pewno niejednego z naszych Czytelników.

W odosobnionym zakątku Mongali, w Kongo belgijskiem, murzyni nasi, modląc się za Panią, nie zanoszą bynajmniej modłów za osobę nieznaną. Wystarcza dla przekonania się o tem zapytanie pierwszego lepszego: Od kogo otrzymaliśmy ten piękny statek, co nam takie oddaje usługi? a odpowie bez wahania: Otrzymaliśmy go od „Rzymskiej Pani". Dla objaśnienia nazwy tej, doda on w swym ubogim naiwnym języku: Jest to biała Pani, zamieszkująca wioskę Papieża.. bardzo dobra chrześcijanka... kocha ona bardzo czarnych... bardzo kocha Ojców... przysyła im pieniądze, za które kupują żywność, ubranie, różańce, szkaplerze, medaliki i mnóstwo dobrych rzeczy... i t. d. i t. d.

Jednego braknie im tylko, by mogli znać Czcigodną Panią, jak tego pragną. Dowiedziałem się o tem w sposób następujący: Któregoś dnia malcy nasi, w liczbie 50 do 60, wychodzili z lekcyi katechizmu, podczas której pokazywano im portret Ojca św. Wkrótce potem kilku największych psotników przychodzi do mnie i pyta... o co? Ktoby też odgadł?

— Ojcze — mówią mi — dopiero cośmy widzieli obraz „Papieża Rzymskiego“, a teraz chcemy widzieć obraz naszej dobrodziejki, „Rzymskiej Pani“. Pokaż nam, Ojcze, prosimy!...

Ponieważ fotografii tej nie posiadam, co ich mocno zdziwiło, zaspokojenie tego pragnienia było dla mnie niemożliwe. Wskutek ich nalegań, obiecałem poprosić jednak o małą fotografię ich Dobrodziejki z Rzymu. Oto murzyn; odważa się żądać wszystkiego.

Drobne wiadomości misyjne.

Od W. O. Cotel'a, Prefekta apost. Ubangi-Szari. — „Tak nadbrzeżne, jak wewnątrz kraju położone wioski — pisze O. Cotel — zarażone... śpiączką. Zwykle ofiarą jej padają dzieci niewolników, więcej przyzwyczajone do kija, niż do manioku. Wykupujemy je, chrzcimy i pielęgnujemy, jak możemy najlepiej. Smuci nas, że nie jest w naszej mocy przywrócenie im zdrowia ciała, ale cieszymy się jednocześnie możnością wyrwania ich samotności. opuszczeniu, nędzy, piekłu...

Nic nie zdoła powstrzymać tej strasznej choroby, występującej u każdego indywiduum z innemi oznakami. Niektórzy murzyni, podlegli temu cierpieniu, znikają ze sceny tego świata prawie bez zmiany rysów, z wyjątkiem wzroku, i prawie bez cierpienia.

Inni, w ciągu długich miesięcy, żyją wychudli, wynędzniali, istne szkielety chodzące, których życie zdradza tylko dwoje wielkich oczu, wyszłych na wierzch; rzucają się oni, śmieją się, płaczą, długie i niezrozumiałe prowadzą rozmowy, aż ich choroba powali.

Widok każdego z nich — smutny. Jeżeli spustoszenia czynione przez śpiączkę trwają dłużej, następuje szał ogólny. Murzyni opuszczają miejsca swego urodzenia, gdyż ziemia, która ich karmiła, nie lubi ich. Idą więc opanowani szałem w inne strony, mniej jeszcze może przyjazne, zawsze w nadziei znalezienia kącika ziemi, coby ich kochała; gdy zaś wypadkiem trafią na to miejsce upragnione, znajdą tam zarazem głód, który ich dziesiątkuje.

Czekam tylko na wiadomość od naszego Najprzew. Generała, aby zarzucić sieci dalej, o 200 kilometrów od misyi Św. Rodziny, na pograniczu Buraksów i Sangosów, prowadzących handel *niewolnikami* na wielką skalę.“

Wiadomości ze św. Kongregacyi Propagandy.

Dekretem z dnia 7 kwietnia r. b. powołała św. Kongregacya Propagandy do życia nową prefekturę apostolską, odłączając część wikaryatu Konga belgijskiego pod nazwą belgijskiej Ubangi i powierzając ją pieczy OO. Kapucynów.

Następny dekret, z dnia 8 kwietnia, ustalił wschodnią granicę Górnego Konga, odpowiadającą granicy politycznej, wyznaczonej w ostatnich czasach przez rząd belgijski, angielski i niemiecki.

Zmiana granicy dotyczyła sześciu wikaryatów: Górnego Konga, Wiktoryi Nyanzy południowej i północnej, Unyanyembe, Tanganiki i Nyassy.

UROCZYSTOŚĆ NAJŚW. MARYI PANNY, MATKI DOBREJ RADY.

Dzięki gorliwości przyjaciół misyj i współpracownic Sodalicyi św. Piotra Klawera, obchodziliśmy święto naszej Niebieskiej Patronki we wszystkich miastach, gdzie istnieją filie. Przew. Duchowieństwo, zarówno świeckie jak zakonne, zdawało się współzawodniczyć w uświetnieniu dnia tego Matki Bożej. Gdzieniegdzie odprawiono solenne nabożeństwa z kazaniami, gdzieindziej zjednoczyła Komunia św. generalna przyjaciół misyj u stóp ołtarza.

Uroczystości wzmiankowane odbyły się: w *Rzymie*, *Krakowie*, *Tuchowie*, *Lwowie*, *Wrocławiu*, *Salzburgu*, *Wiedniu*, *Monachium*, *Tryeście*, *Innsbruku*, *Bozen*, *Linzu*, *Celowcu*, *Zugu*, *Solurze*, *Lucernie*, *Akwizgranie*, *Bingen nad Renem*.

W *Krakowie* wygłosił kazanie, w kościele N. M. Panny, W. O. Bernard Łubieński, Redemptorysta, zaś sumę odprawił W. O. Mączka, teraźniejszy przeor OO. Dominikanów.

W *Lincu* urządzono tego samego dnia przedstawienie dramatyczne.

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

We Wrocławiu, Innsbruku i Solurze odbyły się zgromadzenia zelatorek w połączeniu z konferencyami.

Na *Węgrzech* znalazła nasza Sodalicya kilku gorliwych kapłanów - zelatorów, dzięki czemu zaczyna się coraz bardziej rozszerzać. Wielka liczba dzieci przyjęła pierwszą Komunię św. w intencyi nawrócenia Afryki. Konferencye połączone z obrazami świetlnymi budzą zainteresowanie i jednają wielu nowych prenumeratorów „Echa“.

NA MADAGASKARZE.

Przez O. Orinel, C. S. Sp.

Wielka wyspa afrykańska mało jest znana w Europie, geografia zaś jej — mniej jeszcze. Madagaskar! duże to, czy małe? Nic się nie wie. W czasie wyprawy, która w r. 1895 dała Francyi nową kolonię, gazety pisały nieco o tem, a zbyt liczne, niestety, kablogramy doniosły płaczącym matkom nazwę kraju a nawet wioski, w której ich pieszczoch padł rażony kulą nieprzyjacielską, a częściej – strawiony gorączką. Od tego czasu tylko urzędnikom znana jest ta droga oceanu Indyjskiego.

Kształt ogólny Madagaskaru przypomina, podobno, zarysy Korsyki, lecz obszar przewyższa wielkość Francyi i Belgii razem złączonych. Tananariva, w środku, jest stolicą, Majunga zaś, na wybrzeżu zachodniem, stanie się może głównym portem handlowym.

W przystani tego miasta znajduje się ujście wielkiej i pięknej rzeki Betsiboki; płynąc nią w górę, po przebyciu 120 kilometrów znajdziemy się w Madirovalo. Jest to ważna wioska, licząca 500 chat, gdzieby trzeba założyć posterunek misyjny. Z powodu licznych małych otaczających je wiosek, Madirovalo uważane być może jako główny punkt okręgu.

Jacyż są jego mieszkańcy? Ktoś niedokładnie powiadomiony, odpowie poprostu: Malgasze. Ale nie potrzeba trzech dni tu bawić dla przekonania się, że plemiona objęte tą ogólną nazwą, mniej są do siebie podobne, niż Marsylczyk do Bretona, a Gaskończyk do Flamanda. Kraj ten dawniej był królestwem Sakalawów i nosił nazwę Boeni; oni też stanowią jądro ludności, choć nie są pochodzenia afrykańskiego. Ich obyczaje, śpiewy i przesądy, znamionują lud oddzielny, bardzo starożytny i nie zdziwiłoby mię wcale, gdyby kiedyś nam dowiedziono, że trudnili się oni budową wieży Babel...

We wszystkich tych wioskach doliny Betsiboki, znajdujemy obok drugi element, tak zwanych Howasów, która to nazwa obejmuje wszystkich emigrantów z Imeriny i innych prowincyj centralnych. I oni roszczą prawa do starożytności, ale tylko z wielkim trudem cofnąć można najdawniejsze ich tradycye o 300, lub 400 lat. Faktycznie są to metysowie kilku ras malajskich; wykazanie ich genealogii uczeńszym od siebie pozostawiam.

Trzecie plemię Makwa zasługuje również na wzmiankę. Nazwa ta przysługiwała plemieniu afrykańskiemu, ale rozszerzono ją do wszystkich niewolników, porywanych przez piratów arabskich na wybrzeżu Mozambiku na rachunek Howasów i Sakalawów.

W całem królestwie Boeni spotyka się te trzy plemiona, już to w tej samej wsi, ale w odzielnych obozowiskach, już to w osobnych wioskach, a czasem razem pomieszane.

W Madirovalo zbliżyły się one, nie zlewając się jednak z sobą; wspólność miejsca zamieszkania tylko ujednostajniła ich język, obyczaje i zwyczaje. O tej to ludności, mniej lub więcej jednolitej, chciałbym z Wami pomówić.

Dzielni są to ludzie wszyscy ci Howasowie, Sakalawowie i Makwasowie. Mają oni, rozumie się, cały szereg wad, ale też i dosyć przymiotów, zachęcających misyonarza do przedsiębrania z odwagą i nadzieją ich ewangelizacyi. Spędziliśmy wśród nich miesiąc z Ojcem Rousselière i tak byliśmy zachwyceni tym naszym pobytem, że w oczekiwaniu osiedlenia się tu ostatecznego, będziemy się kolejno zmieniali, żeby nie zostawić trzody bez pasterza. W istocie po naszem oddaleniu się szatan zaraz wziął się do dzieła.

Wszędzie, gdzie znajduje się plemię Howasów, są też fermenty protestantyzmu. Córka dawnego pastora czuła się w obowiązku zachowania tradycyj ojcowskich. U protestantów we wszystkich czasach i krajach kobiety gorliwsze są niż mężczyźni: dlaczego?

Ojcu Rousselière i mnie udało się zebrać na początek 60 do 80 uczniów, uczęszczających dość regularnie na nabożeństwa. Zeszli się oni kiedyś wieczorem i najuczeńszy z gromady napisał, podyktowany przez obecnych, ładny list, wyrażający ich strapienia. Natychmiast odpowiedziałem, że powinni być wierni w ciągu kilku tygodni, po upływie których przybędę dla zobaczenia się z nimi i dodania im otuchy. Nowy list, ale tym razem dziękczynny, tchnący odwagą, a w nim wiadomość, że 8 września mieli liczniejsze zgromadzenie, niż zwykle i że śpiew ich przez wszystkich został uznany jako piękniejszy, niż śpiew protestantów.

Malgasze nie stanowią wyjątku w prawie ogólnem, według którego wszystkie ludy nieucywilizowane są jak dzieci. Nowość pociąga ich. Swietność, jaką otoczyć możemy nasze obrzędy, zachwyca ich, ujmuje, odczuwają niejako instynktowo dobro niesione im przez naszą piękną religię: „Mój Ojcze, przyszedłeś dać nam pojęcie o własności, my żyjemy w błocie.“

Prawdą jest, że ludność z Madirovalo należy do najlepiej przygotowanych ze wszystkich napotkanych przez nas w Boeni. Jest ona przedewszystkiem rolniczą, podczas gdy inne wielkie wioski w dolinie są raczej popasami handlowymi między Tananarywą a Majungą. Nie potrzebuję mówić, co tu się uprawia: ryż wszędzie i przedewszystkiem, a także maniok, pataty i kilka roślin trawiastych, będących przyprawą do ryżu.

W Madirovalo sadzą ryż dwa razy do roku; dwie trzecie więc roku poświęcone porządnej pracy. To też i wady tych

ludzi bardzo są złagodzone w porównaniu do innych. Małżeństwo u nich istnieje, a jakkolwiek mąż i żona związku swego za nierozerwalny nie uważają, to jednak pozostają z sobą.



Grupa Sakalawów.

Rozejście się bywa rzadkie, a i w tym razie widziałem nieraz małżonków jednających się; po krótkim namyśle uznali to wyjście za najprostsze.

Dzieci są albo dobrze wychowane, albo pod względem przymiotów dobrze uposażone, ale za każdym pobytem w Madirovalo wprawiały mię w podziw poczciwością swych uczuć. Przyzwyczajane do pracy za wczasu tłuką ryż, chodzą po wodę, przygotowują posiłek. Raz wieczorem, około godziny 5, dzieci, uczące się katechizmu, odeszły dla oddania się innym, powierzonym sobie zajęciom, aż naraz słyszę wrzawę przed memi drzwiami: płacz, smiech, skargi, żarty, wszystko razem.

Wychodzę, istne widowisko: gromadka chłopców i dziewczynek (wiek ten nie zna litości), tańczy dokoła stłuczonego dzbanka i małej współtowarzyszki we łzach. Na mój widok nastaje zupełna cisza, tylko dziecko poszkodowane odzywa się:

— Mój Ojcze, mieliśmy tylko ten jeden!

— No dobrze, to już nie płacz! Ileż to kosztuje dzbanek?

— Franka, mój Ojcze.

— Masz oto franka, a teraz idźcie wszyscy przygotowywać swoje *sakafo* (posiłek).

Dziesięć minut zaledwie upłynęło, jak zacząłem odmawiać przerwany brewiarz, gdy wołają mię do drzwi: najpierw widzę tylko ogromny dzbanek zupełnie nowy, z pod którego wydobywa się słodki głosik:

— Mój Ojcze, czy potrzebujesz dziś wody?

— Ależ nie, dziękuję, moje dziecko.

— Ale potem, wiesz, każdym razem, jak będziesz potrzebował, zawołaj mnie tylko.

I odeszła, niosąc ostrożnie dzbanek na głowie. Pierwszą jednak podróż do źródła chciała odbyć dla swego dobroczyńcy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w lipcu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia 3 lipca, w pierwszą niedzielę, w uroczystość Przenajśw. Krwi Pana Jezusa;

dnia 25 lipca, w dzień św. Jakóba Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 czerwca 1911.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.